

**Eksplozja w katedrze**  
**Alejo Carpentier**

Przełożyła Kalina Wojciechowska  
Postowie Ewa Kobyłecka-Piwońska

Państwowy Instytut Wydawniczy

## Rozdział pierwszy

### I

Za jego plecami Wykonawca Testamentu zbolałym głosem podejmował na nowo sprawozdanie: człowiek niosący krzyż, responsy, ofiary, świece, kiry i welony, kwiaty, klepsydry, msza żałobna, egzekwie – a ten zjawiał się w galowym mundurze, a tamten płakał, a jeszcze inny mówił o marności nad marnościami... Mimo to pojęcie śmierci nie chciało przyoblec się w barwy ponure na pokładzie tego statku przemierzającego zatokę w upalnym słońcu wczesnego popołudnia, którego blask załamywał się na falach, przedzierając się poprzez pianę i bańki, palący na odkrytej części pokładu i palący pod brezentową płachtą, kłujący w oczy, przenikający pory skóry, nie do zniesienia dla rąk szukających oparcia na burtach. Szczelnie owinięty w swoje żałobne ubrania, pachnące jeszcze wczorajszą farbą, młody człowiek spoglądał na miasto, dziwnie podobne, o tej godzinie rozżarzonych blasków i długich cieni, do gigantycznej latarni, której tysiączne szkła – zielone, czerwone, pomarańczowe – barwiły kamienne spiętrzenie krużganków, arkad, kopuł, belwederów i galerii domów, wiecznie najeżone

rusztowaniami i drabinami murarzy, odkąd gorączka budowania opanowała mieszkańców wzbogaconych na ostatniej wojnie w Europie. Było to miasto wieczyście zastygłego powietrza, spragnione wiatrów morskich i lądowych: szeroko otwierające wszystkie okna i drzwi dla pierwszego świeżego poddmuchu. Gdy przechodził, zaczynały brzęczeć kryształowe świeczniki, kołysać się firanki i frędzle abażurów, hałaśliwie obracały się kurki na dzwonicach, obwieszając, co się stało. Zatrzymywały się na moment wachlarze z liści palmowych, z chińskiego jedwabiu, z malowanego papieru. Lecz po chwili przelotnej ulgi ludzie z powrotem podejmowali nieustający wysiłek, próbując wprowadzić w ruch bezwładne powietrze, znów rozpostarte nieruchomo pośród wysokich ścian mieszkań. Tutaj światło natychmiast stawało się ciepłem, ledwie zajaśniał pierwszy promień, wdzierając się do najszczelniej chronionych sypialń, przebijając zasłony i moskitiery; zwłaszcza dawało się to odczuć teraz, w porze deszczowej, po gwałtownej ulewie w południe, gdy chmury rozdierane hukami grzmotów opróżniały się w mgnieniu oka, zostawiając ulice zalane wodą i parujące wilgocią w triumfującym na nowo, dusznym upale. Daremnie pyszniły się pałace wspaniałością strzelistych kolumn i tarcz kutych w kamieniu – o tej porze roku błoto przylegało do ich ciała jak nieuleczalna wysypka. Każdy przejeżdżający wóz ochlapał białe ściany i rzeźbione portale wodą z kałuż, które tworzyły się wszędzie, zatapiając chodniki, łącząc się ze sobą i rozlewając w szerokie jeziora. Przystrojone w cenne marmury, sufity z rozetami i mozaiki, w żelazne koronki tak niepodobne do krat,

że wyglądały jak delikatne rośliny pnące się wzdłuż okien, wspaniałe rezydencje nie mogły uwolnić się od szlamu z odwiecznych bagien, wyłaniających się z ziemi, zaledwie pierwsze krople zaczęły uderzać o dach... Carlos pomyślał, że wielu gości żałobnych musiało przechodzić przez ulice po deskach przerzuconych przez błoto lub skakać po kamieniach, by nie zostawić butów w głębinach kolein. Przyjezdni wystawiali barwny koloryt i wdzięk miasta, spędziwszy trzy dni w tawernach i spelunkach portu, gdzie tyle orkiestr zachęcało do tańca dzielną załogę, podnieconą kołysaniem bioder kobiecych; ale stali mieszkańcy dobrze znali kurz i błoto, a także saletrę, która zieleniła mosiężne kołatki przy drzwiach, nadgryzała żelazo, powlekała patyną srebro, wywoływała pleśń na starych rycinach, zaćmiewała szkło chroniące rysunki i akwaforty, których sylwetki, powyginane już od wilgoci, widać było jak przez oszronioną szybę...

Daleko, do Przystani Świętego Franciszka, przybił właśnie statek północnoamerykański i Carlos machinalnie odczytał jego nazwę: „The Arrow...”. Wykonawca Testamentu dalej roztaczał przed nim splendory pogrzebu, który niewątpliwie był wspaniały, w każdym szczególnie godny męża tak wielkich cnót: tyłu zakrystianów i akolitów, tyle najcenniejszego czarnego sukna, istny pożar świec, i ci wszyscy sprzedawcy sklepowi, którzy płakali dyskretnie, po męsku, jak mężczyznom przystało, od pierwszych psalmów do *requiescat* – ale syn wciąż był nieobecny, pogrążony w swoim smutku i zmęczeniu, po forsownym cwałowaniu od świtu po bitych traktach i wąskich, niekończących się ścieżkach. Zaledwie dotarł do hacjendy, gdzie samotność

dawała mu złudzenie niezależności – mógł tam grać swoje sonaty aż do rana, przy świetle świecy, nie przeszkadzając nikomu – doścignęła go ponura wiadomość i zmusiła do powrotu. Pędził co tchu, nie dość jednak szybko, by zdążyć na pogrzeb („Nie chciałbym wchodzić w przykre szczegóły – mówił tamten – ale nie mogliśmy czekać dłużej. Tylko ja i pańska święta siostra czuwaliśmy tuż przy trumnie”). I myślał o żałobie, tej żałobie, która przez cały rok zmusi jego nowy flet, przywieziony stamtąd, gdzie wyrabiano najlepsze, do pozostania w futerale z czarnej ceraty, bo trzeba było pogodzić się z głupim przekonaniem, że w domu żałoby nie może rozbrzmiewać muzyka. Śmierć ojca miała go pozbawić wszystkiego, co lubił, krzyżując jego plany, odrywając od marzeń. Będzie teraz skazany na kierowanie sklepem, on, który nie miał pojęcia o liczbach, czarno ubrany, przy poplamionym atramentem biurku, w otoczeniu księgowych i smętnych subiektów, którzy zbyt dobrze się znali, żeby mieć sobie cokolwiek do powiedzenia. I ubolewał nad własnym losem, przyrzekając sobie uciec stąd któregoś bliskiego dnia, bez pożegnania i oglądania się wstecz, na pokładzie pierwszego lepszego statku, kiedy przybili do pomostu, gdzie ich czekał Remigio, ze zboląłą twarzą, w kapeluszu owiniętym czarną wstęgą. Ledwie karetka wjechała w pierwszą ulicę, rozpryskując błoto na prawo i na lewo, rozproszyły się zapachy portu, zmiecione przez oddech wielkich magazynów pełnych skór, solonych ryb, wosku w plastrach i cebul przechowywanych tak długo, że zaczęły już kiełkować w ciemnych kątach, obok rozsypanych podczas ważenia ziaren zielonej

kawy i kakao. Dźwięk grzechotek wypełniał południe, towarzysząc codziennej wędrówce krów wydojonych na pastwiskach za miastem. O tej godzinie, bliskiej zmierzchu, który wkrótce rozplomił niebo na parę minut, zanim wchłonie go nagła noc, wszystko pachniało najmocniej: niedopalone drewno i dep-tane błoto, mokre płótno zasłon, skóra w sklepach rymarzy i siemię w klatkach z kanarkami, zawieszonych u okien. Gliną pachniały wilgotne dachy, starą pleśnią i mchem mokre jeszcze od deszczu ściany, smażoną oliwą – stragany na rogach ulic. Nad palarniami kawy na Wyspie Korzennej unosił się w spiralach brunatny dym ku klasycznym gzymsom i tkwił przez chwilę, w kłębach, między dwoma murami, aż wreszcie rozproszył się jak ciepła mgiełka, owijając się wokół jakiejś dzwonnicy. Ale przede wszystkim pachniało solonym mięsem, wszechobecnym solonym mięsem, przechowywanym we wszystkich piwnicach, którego ostra woń panowała nad pałacami, przesycała firanki, zagłuszała woń kadzidła w kościołach, wdzierała się na widownię opery. Solone mięso, błoto i muchy były przekleństwem tego emporium, dokąd zawijały wszystkie okręty świata, ale gdzie tylko posągi – myślał Carlos – nieruchome na swoich cokółkach, poplamionych czerwoną ziemią, mogły się czuć dobrze. Jako antidotum solonego mięsa wypływał nagle z suterren jakiegoś ślepego zaułka szlachetny aromat tytoniu złożonego w skrzyniach, stłoczonego, przygniecione, skrępowanego, powiązanego w bele włóknem z liścia palmowego, z widocznymi jeszcze plamami delikatnej zieleni w gąszczu liści lub złotymi oczyma na miękkiej warstwie, jeszcze żywej i roślinnej

pośród solonego mięsa. Wdychając ten zapach, nareszcie miły i pomieszany z dymem z nowej palarni kawy odkrytej za jakąś kaplicą, Carlos myślał z niepokojem o życiu, które go teraz czekało, ujętym w karby rutyny, teraz kiedy umilknie jego muzyka, a on skazany będzie na to miasto otoczone barierą oceanu zamykającą drogę każdej przygodzie. Tak jakby go pogrzebano za życia, owinięto zawczasu w całun cuchnący solonym mięsem, cebulą i korzeniami. Czuł się skrzywdzony przez ojca, któremu wyrzucał – było w tym coś potwornego – zbrodnię przedwczesnej śmierci. Dręczyło go, jak nigdy przedtem, bolesne uczucie odgródzenia od świata, myśl o zamknięciu, jakim jest życie na wyspie, przebywanie na ziemi bez dróg do innych ziem, do których można by dotrzeć na kołach, na grzbiecie końskim, na piechotę, przekraczając granice, zatrzymując się na noc w oberżach, kierując się tylko kaprysem, zachwytem, jaki wywołuje wyrastająca przed oczyma góra, wkrótce porzucona dla innej góry, albo ciało aktorki, którą poznało się w jakimś mieście, nieznanym do wczoraj, i której śladem jedzie się przez całe miesiące, ze sceny na scenę, dzieląc pełne niewygód życie wędrownych aktorów... Przejechawszy pod samym murem, gdzie wznosił się pozieleniały od saletry krzyż, powóz zatrzymał się przed nabijaną gwoździami bramą z kołatką zdobną w czarną kokardę. Sień, korytarze, patio zaścielał dywan jaśminów, lilii, białych goździków i nieśmiertelników, które osypały się z wieńców i wiązanek. W wielkim salonie czekała Sofia, z podkrążonymi oczyma, niezgrabna i sztywna w za dużej żałobnej sukni i czarnych welonach. Otaczały ją mniszki, klaryski, które krzątały się po całym

domu, roznosząc filiżanki z ocukrzoną wodą, naparem z kwiatu pomarańczy, podając sole trzeźwiące i ziółka, usiłując okazać swą przydatność oczom nowo przybyłych. Głosy podniosły się chórem, zalecając odwagę, rezygnację i podporządkowanie się woli Bożej tym, którzy pozostali na ziemi, podczas gdy inni poznali już wieczną chwałę, która nie zawodzi i nie przemija. „Teraz będę waszym ojcem” – popłakiwał Wykonawca Testamentu w kącie, pośród portretów rodzinnych. Sofía zrobiła niewyraźny gest pożegnania, który żałobni goście zrozumieli, wycofując się do sieni. Na wieży kościoła Świętego Ducha wybiła siódma. „Gdybyście czegoś potrzebowali...” – powiedział don Cosme. „Gdybyście czegoś potrzebowali...” – chórem odpowiedziały mniszki... Bramę zamknięto na wszystkie zasuwę. Przechodząc przez podwórze, gdzie między malangami, niby kolumny odbijające od reszty architektury, sterczały dwie palmy, których pióropusze zacierały się w zapadającym już mroku, Carlos i Sofía poszli do pokoju, który sąsiadował ze stajniami i był może najciemniejszy i najbardziej wilgotny w całym domu, ale jednocześnie jedyny, gdzie chory na astmę Esteban mógł czasami przespać całą noc bez napadów duszności.

Teraz jednak stał przy oknie – uczepiony, uwieszony najwyższych krat, naprężony od wysiłku, z nagim torsem i wystającymi żebrami rysującymi się pod skórą, osłonięty tylko szalem okręconym w pasie. Z jego piersi wydobywał się głuchy świst, dziwnie ostry, w dwóch równoczesnych nutach, zamierających chwilami w tonach skargi. Ręce pośród prętów szukały umieszczonego najwyżej, próbując go uchwycić, jak



gdyby ciało chciało wydłużyć swoją chudość porysowaną sinymi żyłami. Sofía, bezsilna wobec choroby odpornej na synapizmy i okłady z ziół, przetarła chustką umoczoną w zimnej wodzie czoło i policzki chorego. Wkrótce jego palce puściły żelazo, prześlizgując się wzdłuż krat, i uniesiony, niby zdjęty z krzyża przez brata i siostrę, Esteban opadł na wiklinowy fotel, patrząc na nich rozszerzonymi oczyma o czarnych źrenicach, nieobecnych mimo intensywności spojrzenia. Jego paznokcie były granatowe, szyja znikwała między ramionami podniesionymi tak wysoko, że prawie zatykały mu uszy. Z rozstawionymi kolanami, z łokciami wysuniętymi do przodu jego woskowe ciało przypominało postać umartwiającego się ascety z malarstwa prymitywistów. „To te przekłete kadzidła – powiedziała Sofía, wachając czarne ubranie, porzucone przez Estebana na krześle. – Kiedy zobaczyłam, że zaczyna dusić się w kościele...” Ale umilkła, przypominając sobie, że kadzidło paliło się na uroczystym pogrzebie tego, który nazwany został najlepszym z ojców, zwierciadłem dobroci i mężem przykładowym w mowie wygłoszonej nad grobem przez proboszcza parafii. Esteban opierał teraz ramiona na prześcieradle skrzyconym w linę i zawieszonym między dwoma hakami w ścianie. Smutek jego bezsilności zdawał się tym okrutniejszy pośród przedmiotów, którymi Sofía od dzieciństwa starała się go zabawić podczas jego napadów: pozytywka z pasterką na pokrywce, orkiestra małąp ze złamaną śrubką do nakręcania, zawieszony u sufitu balon z figurkami aeronautów, który można było spuszczać i podnosić na sznurku, zegar z brązu z tańczącą żabą, teatr marionetek z dekoracjami,

które przedstawiały port śródziemnomorski i którego aktorzy – kukiełki wyobrażające kupców tureckich, żandarmów, pokojówki i brodaczy – leżeli pokotem na scenie, ten z naderwaną głową, inny z peruką nadgryzioną przez robactwo, tamten z odłamanymi ramionami. Najbardziej sponiewierany był błazen, któremu z oczu i nosa sypały się trociny. „Nie wrócę do klasztoru – powiedziała Sofia, przytulając do łona głowę Estebana, który bezwładnie opadł na podłogę, szukając chłodu kamiennych płyt. – Moje miejsce jest tutaj”.

## II

Śmierć ojca niewątpliwie dotknęła ich głęboko. Jednakże kiedy ujrzeli się sami w ogromnej jadalni, której ściany zdobiły martwe natury – bażanty i zajace otoczone winogronami, ryby i butelki z winem, obok ciasta tak doskonale wypieczonego, że miało się ochotę zagłębić w nim zęby – mogliby byli wyznać sobie wzajemnie uczucie błogiej wolności, jakie ogarnęło ich wokół stołu z obiadem zamówionym w najbliższym hotelu, bo nikomu nie przyszło do głowy posłać służbę na rynek. Remigio przyniósł tace nakryte serwetkami, spod których ukazały się pasztety, marcepany, gołębie w sosie *crapaudine*, ryby z migdałami, nadziewane i zapiekane przysmaki, bardzo różniące się od prostych potraw zwykle jadanych w tym domu. Sofia zeszła do jadalni w szlafroku i bawiło ją próbowanie wszystkiego po kolei, podczas gdy Esteban odżywał, rozgrzany ciepłem lichego czerwonego wina, które Carlos uznał za arcyświatne.

Dom, zawsze oglądany oczyma przywykłymi do jego rzeczywistości, jako czegoś swojskiego i obcego zarazem, nabierał specjalnego, pełnego wymagań znaczenia, teraz, kiedy czuli się odpowiedzialni za jego trwałość i konserwację. Jasne, że ojciec – tak zajęty interesami, że wychodził nawet w niedzielę rano przed mszą, aby dokonać zakupów i zawrzeć transakcje jeszcze w porcie, wyprzedzając kupców poniedziałkowych – bardzo zaniedbał mieszkanie, wcześniej opuszczone przez matkę, która padła ofiarą najgroźniejszej w dziejach miasta epidemii grypy. Brakowało kamiennych płyt na dziedzińcu, posągi szerniały, za dużo błota z ulicy przedostawało się do sieni, umeblowanie salonów i pokoi mieszkalnych, ograniczone do luźnych, niedobrych sprzętów, wydawało się raczej przeznaczone do sprzedaży na licytacji niż do ozdoby przyzwoitego mieszkania. Od wielu lat nie tryskała woda z fontanny z niemymi delfinami i brakowało szyb w drzwiach wewnątrz domu. Liczne obrazy jednak dodawały godności ścianom przyciemnionym plamami wilgoci, mimo pomieszczenia tematów i stylów. To pomieszczenie było konsekwencją pewnej wyprzedaży, która przyniosła do domu, bez wyboru, wszystkie niesprzedane obrazy pewnej kolekcji. Być może to, co wówczas zostało, miało dużą wartość i było dziełem mistrzów, a nie kopistów, ale w tym mieście kupców nie sposób było tego określić z braku ekspertów zdolnych ocenić sztukę nowoczesną lub rozpoznać wielki styl klasyczny na zmaltretowanym płótnie. Obok *Rzezi niewiniątek*, która mogła być dziełem ucznia Berruguete'a, i *Świętego Dionizego*, który mógł wyjść spod pędzla